Nr. 24. We Lwowie dnia 11. Czerwca 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Filozofja Mickiewicza.

W Przeglądzie filozoficznym znajdujemy ciekawą pracę Chmielowskiego o poglądach filozoficznych Mickiewicza.

Pod wyrazami filozofja Mickiewicza nie należy rozumieć jakiegoś systemu, o ścisłej djalektyce, ale raczej poemat, osnuty na tle uczuciowości jego twórcy i na tle jego rozmyślań, nad zagadnieniami wszechświata i społeczeństwa. Pierwotnie — w młodości — w okresie rymotwórczym Mickiewicza — filozofja jego, jak filozofja całego koła filaretów — była po prostu opozycją przeciw zimnemu racjonalizmowi XVIII. w., przeciw mechanicznemu pojmowaniu świata, przeciw logice chłodnej i jednostronnej Śniadeckich. W jednem wszakże łączyli się Śniadeccy i młodzież filarecka: w niedowierzaniu myślicielom niemieckim, a zwłaszcza Kantowi; to niedowierzanie zachował Mickiewicz do końca życia, a mianowicie kiedy po okresie rymotwórczym nastąpił u niego okres prorocko-mistyczny.

Jeżeli ta pierwotna — młodzieńcza filozofja rymotwórcy była idealizmem, to znów filozofja jego wieku męzkiego, filozofja prorocka — była mistycyzmem. Obie te formy myślenia mają pewne pokrewieństwo zawsze, a zwłaszcza u Mickiewicza: i jako idealista — i jako mistyk — był on zawsze i przedewszystkiem poetą — i właściwie całą jego filozofję jako poezję traktować należy.

Każdy filozof, metafizyk czy nawet pozytywista, jak August Comte — jest w pewnym stopniu poetą: zamiast obrazów konkretnych operuje on abstrakcjami — ale istota twóczości jest niewątpliwie ta sama, co w twórczości poetyckiej. Niektórzy myśliciele — mianowicie zaś mistycy — mają wyraźniejszą fizjognomję poetycką — i czy to Boehme czy Ruysbroek czy Swedenborg — przemawiają oni wszyscy raczej obrazami, niżeli słowem oderwanem, Nie dziw też, że Mickiewicz lubował się więcej w tych, którzy mówią obrazami, niż w matematycznych rozumowaniach — bez twarzy i bez formy.

Kochał on przedewszystkiem prawdy żywe, a takie prawdy są tylko w sercu.

Serce bowiem jest owym pierwiastkiem twórczym w życiu; w sercu jest poczucie nieskończoności i pozaświatów, w sercu jest genjusz, w sercu jest jasnowidzenie konieczności społecznych, praw bożych, obowiązków ludzkich; w sercu, nakoniec, jest potęga wyższa nad wszelkie »szkiełko i oko«, potęga, co pozwala na zobaczenie cudu. Życie świata, zewnętrzne i wewnętrzne, chciał zredukować Mickiewicz do serca; chciał je uczynić osią bytu; rozumowi podrzędne tylko, pomocnicze wyznaczając stanowisko.

Trwale — od pierwszych niemal wystąpień — rozwijając tę zasadę — pod wpływem okoliczności zewnętrznych, które stawiały mu przed oczy najżywotniejsze sprawy praktyczne — prędzej czy później dojść on musiał do jakiegoś całokształtu poglądów mistycznych. Od Saint-Martina, od Jakóba Boehme, od Baadera, od św. Djonizego, od Katarzyny z Emerich, — doszedł On do Towianizmu.

Towianizm był tylko nową formą poetyczności Mickiewicza: powstrzymał on działalność jego, jako wierszopisa — ale całe morze poezji, której treść wewnętrzna długo jeszcze się nie wyczerpie — rozlał on po jego wykładach w kolegjum francuskiem, wykładach o literaturach słowiańskich. Od pewnego dnia, od chwili uwierzenia w mistrza, Mickiewicz zmienia swoją katedrę w kazalnicę proroczą; wywołuje duchy potężne, które mają wstrząsnąć posadami świata, ogłasza przyjście nowego mesjasza — Zbawiciela; rozważa stosunek kościoła do mesjanizmu, stosunek religji do polityki; czyn przenosi nad słowo; poezję — mówi — tworzyć można jedynie po dokonaniu cudu; przewidywał też on na przyszłość poezję nową, zupełnie niepodobną ani do klasycznej ani do romantycznej; poezję tę, którą anticipando w filozofji swojej wystawiał, chciał on w życie wprowadzić; życie bowiem dlań było

głównym motorem myśli i uczuć; nie tyle rozum czysty, ile rozum praktyczny go interesował; logika ścisła, logika stwierdzająca, że to a to j e s t — była dlań rzeczą małej wagi; głównie go trawiło to, co być powinno i myśl jego była zawsze rozkazująca, uderzała w serce, wskazywała drogę do nieba; była to — filozofja moralna. Ta filozofja moralna nie zawierała zbioru suchych przepisów, ale ogniste nakazy doskonałości.

Ekstaza — była owym środkiem mistycznym, za którego pomocą duch nasz ziemski łączy się z pozaświatem, z krainą duchów — (Nie należy tego rozumieć w sensie spirytyzmu) — słowem, w okresie Towianizmu, kiedy duch Mickiewicza przeniósł swój punkt ciężkości z rzeczy widzialnych na niewidzialne, z rzeczy i osób na cienie i duchy, tworzył on poematy, zapewne wcale nie niższe od poprzednich rymotworów, choć może szczególniejsze co do formy zewnętrznej i treści istotnej.

Uwierzywszy w mistrza — czuł w sobie nieustanny wir objawień — i każde z tych objawień zdawało mu się prawdą niezaprzeczoną; duch ewangieliczny zda się owiewał jego natchnienie, ale wraz z tem mieszały się cudaczne ideje o kolumnach duchów, o czwórkach i siódemkach, o metempsychozie, o duchach białych, szarych i tatarskich, o Napoleonie, którego stale niemal zestawiano z Chrystusem, o życiu miedzianem i w duchu innych metali... Mesjanizm zapowiadał nowy kościół: kościół św. Jana po kościele św. Piotra; potrzeba zmian w kościele — wzorem Lamennais i innych ówczesnych pisarzy — wielce zaprzątała Mickiewicza: i tu szło mu o wprowadzenie pewnych pierwiastków kościelnych do życia. W ogóle ideje Mickiewicza — pomimo tych pozorów mglistych i niepochwytnych — miały charakter czysto praktyczny; szło mu o moralność i politykę — i o wprowadzenie moralności do polityki: dlatego wszędzie, gdzie odpowiednich motywów nie znajdował, podnosił głos potępienia.

Potępiał np. Hegla za jego suche — pruskie rozumienie państwa. Miłość oczywiście stanowi główną podstawę jego moralności i polityki.

Rozprawa p. Chmielowskiego dzieli się na cztery części: w dwóch rozważa główne poglądy filozoficzne Mickiewicza, którym nadaje nazwę idealizmu uczuciowego i mistycyzmu, w dwóch następnych przedstawia jego wykład o filozofach obcych i o filozofach polskich. Pierwsze — własne, mickiewiczowskie ideje — czerpie autor głównie z jego poezji, a także z niektórych uwag i rozpraw; między innemi dał tu p. Chmielowski całkowity przekład napisanej po francusku rozprawki pt. L e l i v r e d e s c o n c o r d a n c e s. Rzecz ta mocno tchnie mistycyzmem. Jestestwa — mówi Mickiewicz — poczynają się przed czasem i nie nikną nigdy. Duch istniał przed człowiekiem. Duch — przybierający kształt ludzki — w pierwszym swym okresie — ma poczucie bytów nieświadomych, istotą niżej człowieka stojących: ale nie pojmuje jestestw wyższych nad człowieka. Im wyższym jest duch, tem bardziej uduchownia się jego forma. On sam wytwarza sobie ciało, jak ślimak swoją skorupę. Duch, po raz pierwszy opuszczający ciało, wchodzi poza światem w stosunki z pokrewnemi sobie duchami: schodząc pomiędzy ludzi — czuje się między nimi jakby obcym. W tej krainie pozaziemskiej duch trwa dopóty, dopóki nie nabędzie poczucia nowej egzystencji, poczucia, że jest podniesionym. Przybywając na ziemię po raz drugi — duch, przynosi z Empireum pewną niejasną samowiedzę poprzedniego bytu — i rozumie istoty wyższe od człowieka, istoty niewidzialne. W pierwszym okresie jest on wyznawcą materjalizmu, w drugim wygłasza poglądy idealistyczne. Zachowuje stosunki z duchami: miewa od nich ostrzeżenia, które go powstrzymują od złego; jednakże złe potęgi go kuszą i duch drugiego stopnia może spaść na pierwszy — i pogrąża się w uciechach zwierzęcych i tu jest początek grzechu.

Żywot tego człowieka jest podwójny. Niekiedy pogrąża się on przeciwnie w swojej przeszłości duchowej i ciało zwolna niweczy, łamiąc w ten sposób możność wyższych doskonaleń. Ten, który słucha ostrzeżeń z góry, ale ciała swego nie niweczy, otrzymuje z wyżyn słowa duchowe, których udziela niższym braciom; ten dar — jest to łaska. Łaska jest akt komunikacji ducha wyższego z niższym. Wszyscy objawiciele uważali taką komunikację za rzecz użyteczną.

Dalej mówi Mickiewicz o duchach złych czyli chorych, o poście duchowym, tj. zgryzotach sumienia, o strachu i t. d.

Rozprawka jest niedokończona; ciekawa z tego względu, że zawiera teoretyczny wykład treści mistycyzmu. Stopni żywota liczba jest nieograniczona. Mickiewicz jakoby przechodził już cztery żywoty: był on rycerzem kamiennym, był zakonnikiem średniowiecznym, był prorokiem za dni przedchrystusowych, był nakoniec Joanną d'Arc. Indywidualność ludzka była zawsze podstawą zasadniczą jego idei; wola ludzka była dlań siłą twórczą — i kierowniczą w rzeczach ziemskich i nadziemskich.

> Bóg sam może świat zniszczyć i drugi postawić,
> A bez naszej pomocy nie może nas zbawić.
> Sam Bóg bez naszej wiedzy nie może nas rzucić,
> A choć rzuci, gdy zechcem musi do nas wrócić.

Jednym z najciekawszych utworów filozoficznych Mickiewicza jest w i d z e n i e. Maluje tu poeta, jak się zbudził ze snu zmysłów — i jak zbudzony ociera pot z czoła, tak on ocierał z siebie przeszłe czyny. Świat stał mu się przeźroczysty; nagle ujrzał

> całe wielkie morze
>
> Płynące z środka, jak ze źródła, z Boga —
> A w nim rozlana cała światłość błoga!
> I mogłem latać po całym przestworze
> Biegać jak promień, przy boskim promieniu
> Mądrości bożej...

I oto stał się zaraz światłem i źrenicą, to znaczy, że widział wszystko w Bogu i przez Boga.

Oto jak dalej wystawia autor to zjednoczenie, to widherba mistyków indyjskich (zjednoczenie proroka z natchnieniem).

I w pierwszym, jednym rozlałem się błysku
Nad przyrodzenia całego obrazem;
W każdy punkt moje rzuciłem promienie,
A w środku siebie jakoby w ognisku,
Czułem odrazu całe przyrodzenie,
Stałem się osią w nieskończonem kole:
Sam nieruchomy, czułem jego ruchy,
Byłem w pierwotnych żywiołów żywiole,
W miejscu, skąd wszystkie rozchodzą się duchy,
Świat ruszające, same nieruchome....
....I byłem razem na okręgu koła,
Które się wiecznie rozszerza bez końca
I nigdy Bóstwa ogarnąć nie zdoła...

Filozofję — jako uczone systemy na katedrach wykładane — zowie M. podrobieniem (contrefaçon) objawienia. Określenie to jest ściśle to samo, jakie znajdujemy w tych słowach: czucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca szkiełko i oko!.. Filozofja daje tylko martwe prawdy: brak intuicji — podług M. — czyni z niej naukę przeklętą. (Mędrcy przeklęci!); oni to synowi bożemu »rozumami serce przebodli; oni książki tylko rozumieją — i gdyby z książek można było poznać Mesjasza, to oni by go poznali, ale jego trzeba odczuć sercem.

Nauki są lekarstwem; chlebem — słowo boże; kto ma zdrowy żołądek — bez lekarstw żyć może. To też Mickiewicz zwalczał w sobie po prostu dążności rozumowe, podniecając natomiast ekstazę, uczuciowość, zdolność objawień i nastrój proroczy. Nic też dziwnego, że nie lubił zwłaszcza filozofów niemieckich, którzy mu się wydawali zawsze wcieleniem chłodnego rozumu; rozum chłodny — to rozum jałowy; Stefan Garczyński mówi bardzo pięknie, że ażeby coś stworzyć, należy »dać rozkaz i siłę z rozkazem«. Filozofja niemiecka — to scholastyka in minus, niezdolna do wywołania czynu. Wyżej ceni M. filozofów francuskich (Saint Martina, de Maistre'a, Lamennais, Buchez, P. Leroux), w których dostrzegał swoje umiłowane zajęcie się rzeczami społecznemi. Również mało ceni Spinozę — z jego bogiem nieosobistym i intelektualnym. Zdaje się, że Mickiewicz dość powierzchownie znał filozofów niemieckich: Kant zwłaszcza, którego również i Śniadecki krytykował surowo, wyszedł u niego nieszczęśliwie. Krzywdzi też Fichtego, z którym jednakże łączyło go wiele; nakoniec system Hegla zupełnie łaski Mickiewicza nie ma, jest podany niedokładnie i samowolnie wytłumaczony. Najwięcej cenił Mickiewicz z niemców — Schellinga, którego filozofja objawienia schodziła się z jego pomysłami... Natomiast w Niemczech znalazł Mickiewicz największych mistyków: Boehmego, Baadera, Jacobiego, Schleiermachera.

Osobny rozdział poświęca p. Chmielowski poglądom Mickiewicza na filozofję polską.

Myśliciele polscy wyobrażają ducha słowiańskiego w filozofji: podług Mickiewicza słowianie — pół bezwiednie — uznają objawienie pierwotne; myśl ich jest idealna i streszcza się w pojęciu ducha. Wyraz duch szczegółowo tłumaczy Mickiewicz jako coś odmiennego od Geist, esprit, pneuma i spiritus. Trzecia część wyrazów słowiańskich pochodzi od pierwiastka duch. Głównym warunkiem objawienia jest ofiara — i naród polski właśnie ten warunek spełnił w swoim przedstawicielu Towiańskim.

Po za Towiańskim — rozważa Mickiewicz kilku jeszcze myślicieli, którym zarzuca najczęściej, że się od prawdy słowiańskiej oderwali i ulegli wpływom niemieckim. — W jego wykładzie filozofji polskiej występują kolejno: Józef K. Szaniawski; Hoene Wroński, od którego zapożyczył Mickiewicz wyraz — mesjanizm; Antoni Bukaty — Wrońskiego uczeń; Br. Trentowski, któremu zarzuca niemczyznę i brak chrystjanizmu; Aug. Cieszkowski, którego ceni najwięcej za uznanie intuicji i działania; wreszcie Królikowski, którego łączyły z Mickiewiczem pewne dążenia społeczne, jakkolwiek Królikowski był bardziej realistą i traktował szczęście społeczne po ziemsku, z pominięciem osobowości i narodowości, co dla Mickiewicza było niemożliwem do przyjęcia.

A. Lange.



18)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Na zakończenie niniejszego zarysu o działalności ś. p. Józefa Łagowskiego, przytoczyć jeszcze muszę kilka szczegółów, odnoszących się do zielnika roślin nadbajkajskich, będących obecnie własnością gabinetu botanicznego Uniwersytetu we Lwowie. Szczegóły, o których mowa, czerpię przeważnie z prac ś. p. Kazimierza Łapczyńskiego, mianowicie: z artykułu jego, umieszczonego we Wszechświecie, noszącego tytuł „Wiadomość o zielniku nadbajkalskim Józefa Łagowskiego 1886, str. 359 i 374“, i z obszerniejszego opracowania tego samego tematu w Pamiętniku fizyograficznym T. VI. 1886, str. 219 pod tytułem: „Wspólne stosunki roślin jawno kwiatowych nasze i nadbajkalskie.“

Zielnik Łagowskiego obejmuje 992 gatunków i odmian roślin jawnokwiatowych, dokładnie oznaczonych przez ś. p. Józefa, nadto zawiera 500 gatunków i odmian nieokreślonych. Wszystkich tedy N. N. razem wziętych mamy 1492. Stanowisk, na których były zbierane rośliny zielnika, naliczył K. Ł. 107. Najczęściej okazy gatunków, w zielniku zawartych, pochodzą z kilku miejscowości, a nie rzadko z każdego stanowiska bywa po kilkanaście okazów. Ogólnie biorąc, egzemplarzy jest bardzo dużo. „Wszystkie rośliny“, powiada K. Ł. „są wybornie suszone“ i jak dotąd poniosły nie zbyt wielkie szkody od owadów i pajęczaków molikowatych, niszczących zwykle zbiory wszelakie.“

Roślin uważanych przez Łagowskiego za nowe gatunki jest pięć, ponazywał on je, ale dokładnych opisów nie podał, tylko przy każdym z nich umieścił krótką notatkę łacińską, ręką własną kreśloną, wskazującą czem się nowy gatunek różni od najbliższych. Nazwy tych gatunków są następujące: *Dontostomum acaulis* Łag., *Stellaria Dybowski* Łag., *Stellaria Zieńkowiczii*, *Crepis Trautvetterii* Łag. i *Mulgedium Ussolense* Łag.

Form takich, jakie Łagowski uważa za nowe odmiany gatunków znanych, w zielniku jest kilkadziesiąt, niekiedy podaje nazwę dla danej odmiany, innym razem wskazuje tylko w krótkich wyrazach cechy znamienne, ale najczęściej po nazwie gatunkowej pisze wprost „varietas“, bez żadnych uwag. Ile nowych gatunków lub odmian znajdzie się pomiędzy roślinami niedeterminowanemi, których ilość całkowita wynosi 500, o tem dopiero dowiemy się w przyszłości, mianowicie od tego, co nad zielnikiem Łagowskiego zabierze się do pracy, wprawdzie bardzo wdzięcznej, powiada K. Ł., ale wymagającej niezbędnie dobrze zaopatrzonej bibljoteki botanicznej, a do tego zielników roślin azjatyckich. W Warszawie „przy jej ubóstwie środków naukowych“, praca taka była dla Łapczyńskiego niemożliwą, to też nie było nadziei, aby ktokolwiek mógł tam dokończyć — „co śmierć uzupełnić nie pozwoliła Łagowskiemu“.

Czy Lwów będzie miejscem szczęśliwszem pod tym względem? czy zielnik Łagowskiego doczeka się opracowania należytego? trudno dzisiaj powiedzieć, wszelako mogę się obecnie podzielić wiadomością pomyślną, że jeden z naszych botaników przyrzekł zająć się zbiorami Łagowskiego i obiecał opracować florę okolic Irkucka.

Myśl, że pomiędzy roślinami nieoznaczonemi w zbiorze Łagowskiego, dużo być musi nowych rzeczy, nasuwa się sama przez się, powiada K. Ł. szczególniej po zapoznaniu się z florą Turczaninowa *(Flora baicalensidahurica seu descriptio plantarum in regionibus cis et transbaicale usibus atque in Dahuria sponte nascentium. Auctore Nicolao Turczaninow. Mosquae 1856 Vol. III.)* i po rozpatrzeniu się w stanowiskach zanotowanych w zielniku Łagowskiego.

Od roku 1886, w którym kreślił ś. p. Kazimierz Łapczyński swoje uwagi nad zielnikiem Łagowskiego, kawał czasu upłynął. W dobie ostatniej wielu eksploratorów florystów pracowało kolejno na terenie badań ś. p. Józefa, więc może część nowych gatunków i odmian przez niego zebranych, dotąd już opisaną została. Ale nie ta strona zielnika rzeczonego stanowi jego wartość wysoką, ta ostatnia polega na tem głównie, że jest zdeterminowany przez znawcę pierwszorzędnego i najskrupulatniej porównany ze zbiorami Turczaninowa, deponowanymi w gabinecie towarzystwa geograficznego w Irkucku, stąd też wszystkie oznaczenia roślin Łagowskiego, jak słusznie to podnosi K. Ł., trzeba uważać za niewątpliwe, tak, że we wszelkich kwestjach spornych służyć może jako źródło wiadomości najautentyczniejszych, dotyczących flory nadbajkalskiej. Tem większej atoli ów zielnik nabiera wartości w obecnej chwili, że w czasie wielkiego pożaru Irkucka w r. 1879 zgorzało muzeum towarzystwa geograficznego wraz ze zbiorami Turczaninowa.

Ze względu na ważność zielnika, starałem się najusilniej o to, ażeby zbiory ś. p. Józefa dostały się do naszych gabinetów botanicznych, tego celu dopiąłem nareszcie i prof. Ciesielski

nabył cały zielnik za sumę 250 zł. r.*) dla muzeum botanicznego we Lwowie. Pomieszczono go w szafach ochronnych, zabezpieczonych od zniszczenia, a w sali muzealnej zawieszono portret Łagowskieog większych rozmiarów, wykonany z fotografji, zdjętej w Irkucku w r. 1869.

Przypominać on będzie przyszłym pokoleniom botaników — tego energicznego, wytrwałego, zamiłowanego w swoim zawodzie i niezmordowanego pracownika.

(Dalszy ciąg nastąpi).

*) Sumę otrzymaną odesłałem wdowie po ś. p. Józefie.

SPŁATA

PRZEZ

10) **PAWŁA BOURGET'A.**

Przekład Eugenji Żmijewskiej.

. . . Cóż to ja mówiłem?... Ach! prawda... Opowiadałem panu o lyceum, o szkole w Wersalu... Potem dopiero, znacznie później, dowiedsiałem się, kto jest moim ojcem. Nazywałem go zawsze panem Robert — tak miał na imię i mnie go nadał. Spotykałem go u krewnych mojej matki, którzy mnie brali do siebie w niedziele i święta. Od nich to potem dowiedziałem się o wszystkiem.

Ojciec mój był żonaty i dzietny. Miał wysokie stanowisko w ministerjum spraw wewnętrznych; stary Corbières był tam woźnym.

Zaczynasz pan kombinować... prawda? Mój ojciec nie chciał, aby o mojem istnieniu dowiedziała się jego żona i dzieci ślubne. Corbière służył pod nim od lat wielu. Czując się chorym, jemu powierzył sumę, którą uszczknął ze swojej fortuny i przeznaczał na moje wykształcenie... Coś około trzydziestu pięciu tysięcy franków, jeśli mnie obliczenia nie zawiodły.

— Czyżby pan Corbières przywłaszczył sobie te pieniądze? To niepodobna! — przerwałem mu. — I po co? W jakim celu? Patrzałem na życie tych staruszków. To ludzie poczciwi, zacni!

— Ci zacni ludzie ograbili mnie ze wszystkiego — szydził Piotr Robert, a usta jego układały się w uśmiech wzgardliwy i rad był widocznie, że on, gardzony przez wszystkich, może nareszcie okazywać pogardę. — Pan pyta dlaczego? Tak, dlaczego? — A za co oni wychowali swego syna? On mógł, jako ochotnik, służyć tylko rok w wojsku. Za czyje pieniądze? Chodził na medycynę. Zkąd miał na to? Woźny w ministerjum, to nie urzędnik, suto płatny, który może odkładać pieniądze na wychowanie dzieci? Czy on mógł tyle odłożyć, aby jego syn uczył się za to do lat trzydziestu? A więc zkąd wziął? Wydał moje pieniądze, słyszysz pan: moje pieniądze! moje własne.

— Wszak sam pan powiadasz, że nie masz dowodów na poparcie tego oskarżenia - przeczyłem, w duchu jednak będąc pewnym, że mówi prawdę.

Jego słowa tłómaczyły mi smutek małżonków Corbières, który mnie tak często zastanawiał i dziwił, którego nie mogłem pogodzić z ich przywiązaniem bałwochwalczem do syna, sprawiającego im tylko pociechę.

Pijak ciągnął dalej, rzucając coraz jaskrawszy snop światła na to tajemnicze ognisko.

— Mówiłem, że nie mam dowodu, którybym mógł przedstawić sądowi. Takiego nie mam. Ale inne dowody posiadam. Ojciec do mnie pisał przed śmiercią. Wyznaje, że nie jest mi chrzestnym, ale rodzonym. Zabrania mi dowiadywać się o nazwisku jego żony i dzieci ślubnych. Nie wymienia mi nawet swojego prawdziwego.

Panie, ja bywałem bardzo nieszczęśliwy, może mi pan wierzyć na słowo... a jednak nigdy nie uchybiłem tej woli nieboszczyka. Nie żądałem niczego ani od żony, ani od moich braci. Jest ich dwóch. Pomogliby mi chętnie. Ale ja nie chcę. Mój ojciec dodawał, że mi zapewnia przyszłość i że będę pobierał tysiąc ośmset franków rocznie aż do lat trzydziestu, a potem dostanę mały kapitalik. Z tej właśnie cyfry dochodu domyślam się, że cała suma wynosiła trzydzieści pięć do czterdziestu tysięcy franków. Ojciec, pragnąc postawić nieprzebytą zaporę między dziećmi ślubnemi a mną, nie pisał, kto będzie mi wręczał tę ratę i kto mi kapitał odda. Obawiał się, abym po nitce nie doszedł do kłębka. A jednak dowiedziałem się wszystkiego: wiem, że choroba spadła na niego nagle, jak piorun, że nie miał czasu zrobić rozporządzeń, które poprzednio odwlekał, mając zamiar wyjawić mi prawdę i wręczyć mi tę sumkę, gdy dojdę do pełnoletności. W chorobie wezwał do siebie starego Corbières i jemu to poruczył. Wtedy Corbières był jeszcze uczciwy. A dowodem tego, że w pierwszym i drugim roku otrzymałem rentę. Już w trzecim nie. Był to rok, w którym jego syn odbywał wojskowość, jako ochotnik. Przez te dwa lata pieniądze dochodziły mnie kwartalnie w kopertach rekomendowanych bez listu, z takim tylko dopiskiem: „Stosownie do woli pana Robert“.

Otóż potem dostałem pismo od starego Corbières — było takie samo, jak na adresach.

Ale wracam do owego roku 1873. Pieniądze nie nadeszły. Zbliżał się termin powinności wojskowej. Nie miałem sposobu dowiedzieć się, dlaczego nie dochodzi mnie renta? Musiałem wstąpić do wojska jako zwyczajny szeregowiec. Resztę już pan wie...

— Ale jakim sposobem odszukałeś pan Corbièrów? — zapytałem.

— Spytaj pan raczej: jakim sposobem ci nędznicy mnie odnaleźli? Bo to oni mnie szukali. Ot poprostu, gdy człowiek bliskim jest śmierci, to go chwytają strachy. Próbuje wtedy „naciągnąć“ Pana Boga.

Zaśmiał się znowu, ukazując czarną otchłań ust bezzębnych.

— Zapragnęli dowiedzieć się o moim losie, a widząc, do czego doszedłem, kiedy niekiedy kapali mi srebrniakami, chcąc tem zagłuszyć sumienie i zażegnać pomstę nieba. Cha, cha! Nie udało im się to jednak.

Gdy zobaczyłem ojca Corbières po raz pierwszy, ot tu, na tem miejscu, gdzie pana teraz widzę, dałem mu się wygadać, tak jak panu przed chwilą. Mówił, że wie o mojem smutnem położeniu i przychodzi mnie wspomódz. Jak chcę, to umiem słuchać, jakbym wierzył tym, którzy mnie okłamują. Prawda, panie?

Słucham, ale w duszy wiem, co trzymać. Otóż powiadam sobie: Czego chcesz odemnie, stary? Po coś tu przyszedł? Nie wiem, ale to pewno czuję, że nie po to, co mówisz.

Przyszedł drugi raz z żoną. Potem przychodzili co miesiąc, wreszcie co tydzień. Coś ich tutaj ciągnęło. Rzuciłem na nich zły urok, świdrowałem ich oczyma, a oni wili się pod tem spojrzeniem.

Dlaczego? Po pewnym czasie przyszło mi na myśl, że są wplątani w dzieje mojego życia. Wspomniałem im o pieniądzach, które powinienem był otrzymać i o liście mojego ojca... Od tej chwili czułem, że ich trzymam w ręku...

Nie rozumiem, dlaczego oni mnie się boją, czemu chcą mnie stąd wyprawić?... Ja ich tak mało kosztuję. Kiedy niekiedy żądam kilku franków, byle mieć za co zjeść i wypić. Gdybym chciał, dziś już, kiedy ich syn jest bogaty, oddaliby mi wszystko. Ale choćbym dostał te pieniądze, co ja teraz z niemi zrobię?...

Ja ich, co prawda, naumyślnie straszę i dręczę... Trzeba się przecież zabawić. Życie nie jest wesołe. Zresztą niedługo już tego. W głowie mi się już plącze... Chwilami w niej szumi, jak woda w garnku...

Zaśmiał się znowu ponuro, wziął ze stołu mojego napoleona, schował go do kieszeni od kamizelki, wstał i odprowadził mnie do drzwi.

— Dziękuję panu — mówił. — Proszę powiedzieć, żeby mi nie nasyłali osób „litościwych“... Nikt mnie nie namówi na wyjazd z Paryża... Szkoda tylko fatygi... Każdemu, kto tu przyjdzie w ich imieniu, opowiem tę historję, a z Paryża nie wyjadę i będę do nich chodził, a oni muszą mnie przyjmować i kwita. Żegnam pana.

Dopiero gdym się znalazł za drzwiami tej nędznej izdebki, zrozumiałem straszne konsekwencje tych zwierzeń i dreszcz mnie przeniknął.

Eugeniusz czekał na mnie. Co mu powiem? Tak się bałem jego przenikliwego spojrzenia, że nogi uginały się podemną, gdym zstępował po tych schodach, myśląc z trwogą, że się one skończą. A co wtedy? Pamiętam, że stałem przez kilka minut na pierwszem piętrze, układając twarz do spokoju, przygotowując takie odpowiedzi na pytania Eugeniusza, któreby go odwiodły od zamiaru tego strasznego śledztwa.

Czy moja litość dla nieszczęśliwego przyjaciela dodałaby mi mocy panowania nad sobą, nie wiem, bo nie miałem sposobności jej dowieść.

Nie brałem w rachubę gorączkowej niecierpliwości Eugeniusza. Nie mogąc mnie się doczekać, wszedł w bramę, potem na podwórze, wreszcie na schody, tak, że gdym stał na zakręcie pierwszego piętra, ujrzałem go nagle przed sobą. Przyskoczył do mnie i zawołał gorączkowo:

— Co on ci mówił?

— Nic ciekawego — odparłem. — Jest to nędzarz i pijak. Twój ojciec go wspiera.

— Czemu jesteś taki wzruszony? Drżysz!

— Wzruszyła mnie nędza, a osłabił zaduch. Wyjdźmy na świeże powietrze. To mnie orzeźwi — mówiłem, ciągnąc go za sobą.

— Chodźmy! — rzekł.

Nagle stanął i patrząc mi prosto w oczy, zawołał:

— Nie, w tem coś jest. Ty mi nie mówisz prawdy. Nie powiesz mi jej. Tem gorzej... Pójdę sam.

— Nie pójdziesz! — zawołałem, stając w poprzek schodów.

Zaledwie ten okrzyk z ust mi wypadł, zrozumiałem całą jego nieostrożność i starałem się natychmiast ją naprawić.

— Nie radzę ci — dodałem spokojniej. — To się na nic nie zda. On już i tak wyzyskuje twojego ojca.

— Ty mi prawdy nie mówisz — powtórzył Eugeniusz głosem zdławionym i zanim zdołałem jego zamiar przewidzieć, rzucił się na schody i pędził na górę, przeskakując po parę stopni.

Stałem, jakby do miejsca przykuty, nie mając siły do oporu.

Z tych ciemnych, cuchnących murów wionął na mnie podmuch fatalizmu. Spotkanie między tymi dwoma ludźmi wydało mi się nie-

uniknionem. I powiedziałem sobie: Lepiej, aby nastąpiło teraz, gdy mogę nieść ulgę przyjacielowi, jeśli na niego spadnie ów cios straszny. Łudziłem się jeszcze nadzieją, że w sercu pijaka tleją popioły uczuć przygasłych, że nie wyjawi Eugeniuszowi tej strasznej tajemnicy.

Wszak gdyby był wyzutym ze wszelkich lepszych instynktów, mógł był wyłudzać pieniądze od niego, nie zaś od jego rodziców. Chciałem w tem upatrywać skrupuł szlachetny.

Wszak syn nie był winnym przestępstwa ojca; jeśli z niego korzystał, to bezwiednie. Wyjawić mu tę winę byłoby nieludzkiem okrucieństwem. A w rozmowie ze mną Piotr Robert nie okazał się ani nieludzkim, ani okrutnym.

Tak sobie perswadowałem, zapominając, że taki człowiek jak on, gotów pod wrażeniem danej chwili dopuścić się czynu, sprzecznego z swym charakterem, z własną wolą i najszczerszemi postanowieniami.

W chwilach, gdy brały górę niższe instynkty, Robert chciał zapewne nieraz zwrócić się do Eugeniusza, a jednak tego nie uczynił, myślałem, dodając sobie otuchy.

Miałem jednak przekonać się za chwilę, że instynkt zemsty, nagle obudzony, może być silniejszym od szlachetnego, bądź co bądź, skrupułu, którym ten człowiek upadły powodował się tak długo.

Wszak już wobec mnie nie umiał zapanować nad swemi słowami. Czemużby miał okazać większą powściągliwość wobec człowieka, samym swoim widokiem budzącego w nim gorzkie wspomnienia?

Wszystkie te myśli i wątpliwości ścierały się w mojej głowie. Nie mogłem ustać na miejscu, wybiegłem na podwórze, potem czekałem chwilę w bramie, wreszcie zacząłem krążyć pod domem, namyślając się, czyby nie pobiedz na górę, gdy nagle Eugeniusz ukazał się w bramie.

Spojrzeliśmy na siebie.

Tamten mu wszystko powiedział.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Büchner o reformie społecznej.

Zmarły niedawno filozof-przyrodnik zajmował się żywo kwestją społeczną, a do rzędu jego dawniejszych prac w tym kierunku (wymienimy tu np. „Darwinismus und Socialismus“, wydane w roku 1894), przybyła niewielka rozprawa pośmiertna „O kwestji społecznej“, świeżo właśnie wydana.

Odwieczna nieprawidłowość ustroju społecznego, zdaniem Büchnera, i w naszych czasach, pomimo postępu cywilizacji, zniesienia niewolnictwa i poddaństwa, co do istoty swej nie uległa zmianie. Przeciwnie, rzec można, iż wskutek wzrostu oświaty i dojrzałości politycznej masy odczuwają te braki ustroju społecznego żywiej jeszcze i boleśniej, niż dawniej, a niebywały rozwój materjalnych warunków życia sprowadził za sobą takie kontrasta społeczne, o jakich w czasach dawniejszych nie mogło być nawet mowy.

Dzięki podobnym stosunkom kwestja społeczna nabyła takiej wagi i znaczenia, że usuwa na plan ostatni wszelkie kwestje polityczne. „Bo i cóż pomoże choćby największa swoboda polityczna temu, kto się pod względem społecznym czuje upośledzonym i żadnego z tej swobody użytku zrobić nie może? Zdaniem Büchnera partja socjalno-demokratyczna, na poły socjalna, na poły zaś polityczna, pragnąca osiągnąć swe cele na drodze zmian politycznych, nie sprowadzi pożądanej reformy, nie usunie społecznych przeciwieństw i nieprawidłowości. „Nie można nawet — powiada B. — uważać tej partji za socjalną, dążącą do poprawy społeczeństwa, bo dąży ona do wyzwolenia nie społeczeństwa jako takiego, a pewnej tylko jego części, stosunkowo nawet nie najważniejszej“. Nie spodziewa się też Büchner przewrotu stosunków, gdy władzę weźmie w ręce klasa robotnicza, bo, jego zdaniem, „w należycie zorganizowanem społeczeństwie rozstrzygać powinny nie masy, które przecież byłyby tylko podatnym materjałem w ręku kilku ambitnych przywódców, a wyższa inteligencja oraz klasy zajmujące wyższe polityczne i społeczne stanowiska“.

Nie obiecuje sobie też B. nic dobrego z gwałtownego przewrotu na tle społecznem.

Kto pragnie polepszenia doli ludzkości, powinien obejrzeć się za innym środkiem, któryby ku temu prowadził i odpowiadał, zdaniem B., następującym dwom warunkom: 1-o dał się przeprowadzić na drodze pokojowej, (był zatem reformą, a nie rewolucją); 2-o miał na oku nie jedną jakąś klasę, a całe społeczeństwo, nie stawiąc, rozumie się, tamy moralnemu i materjalnemu doskonaleniu się i wyróżnianiu pojedyńczych osobników.

Tym zaś wymaganiom odpowie możliwe wyrównanie środków i warunków, przy pomocy i wśród których jednostki prowadzą walkę o byt, o dobra życiowe.

Że pod tym względem istnieje wielka, wypływająca z współczesnych instytucji społecznych nierówność i niesprawiedliwość, to nie ulega wątpliwości i jest ogólnie przyjętem.

Büchner pragnąłby ją usunąć za pomocą trzech reform: zniesienia prywatnej własności ziemskiej i w ogólności nieruchomej, ograniczenia a nawet zniesienia spadkobrania w dziedzinie własności ruchomej, czyli kapitałów i, nakoniec, przeobrażenia państwa na wielkie, na

wzajemności oparte towarzystwo ubezpieczeń na starość, na wypadek choroby, nieszczęśliwego wypadku, nędzy i śmierci.

Aby uprzedzić możliwe zarzuty co do utopijności powyższych projektów, powołuje się B. na cząstkowe już wprowadzenie ich w życie pod postacią: opodatkowania renty gruntowej (*single-tax,* wedle pomysłów H. George'a, w Nowej Zelandji), podatku spadkowego we wszystkich prawie państwach, zabezpieczenia na starość i od wypadków w Niemczech.

Büchner jest świadom oporu, jaki powyższe reformy napotkać muszą i powolności, z jaką je w życie wprowadzić można. „Ale zwątpić w możliwość ich przeprowadzenia — powiada w końcu swej rozprawy — to znaczy, zwątpić w ogólności o postępie ludzkości. Gdyby tak być miało, gdyby się prawdzie nie udało naprawić krzywd i niesprawiedliwości społecznych, w takim wypadku trzeba być prędzej, czy później przygotowanym na taką społeczną walkę klas, która swą gwałtownością i rozgoryczeniem prześcignie wszelkie dotychczasowe walki polityczne. Nie odrzucajmy zatem na ślepo, jak to wielu czyni, wszelkich reformatorskich projektów społecznych, ale osądźmy sprawiedliwie ich wykonalność, dopóki jest jeszcze czas po temu. „Działajcie, dopóki jest dzień jeszcze, bo przyjdzie noc, a wówczas nikt nie będzie mógł działać".

Z pism i książek.

Fr. Rawita-Gawroński: *Historja ruchów hajdamackich* (w. XVIII). 2 tomy. We Lwowie nakładem K. J. Jakubowskiego 1899.

Wyświetlenie prawdy historycznej to cel jasny i wysoki, do którego dążą wszystkie narody. Dla nas jednak stopniowe osiąganie tego celu posiada większą, niż dla innych, doniosłość. Każde dzieło historyczne u nas, to niby szaniec czujną ręką obrońcy usypany, a cóż dopiero powiedzieć o pracach, które, jak wyżej wymieniona, dążą do przelania światła na momenta najciemniejsze, a przez złą wolę jeszcze bardziej zaciemniane?

O ruchu hajdamackim, który „przez cały wiek prawie niszczył i krwią oblewał kraj własny", nie istniała dotąd żadna monografia. To też tem bardziej imponujące wrażenie wywiera ta pierwsza, obejmująca około sześciuset stronic wielkiej ósemki i oparta na źródłach i materjałach tak licznych, że spis dzieł i rękopisów, z których Autor czerpał, zajmuje niemal pół arkusza. „Historja ruchów hajdamackich" daje wykończony obraz groźnych wypadków, które „olbrzymi obszar kraju od Dniepru do Dniestru, od posiadłości Siczy i stepów Budziackich aż po Wołyń pokryły ruiną pożóg i strumieniami krwi bratniej." A znaczenie historyczne tego wielkiego obrazu i jego oryginalność określa najlepiej wyznanie samego Autora, który tak mówi w przedmowie do swego dzieła:

„Dla większości czytelników, znających tylko według pamiętnikarzy ostatnie dnie Koliszczyzny, będzie to obraz prawie nowy, prawie nieznany. To, co pamiętnikarze zanotowali kilkoma słowy, znajdzie się w tej pracy w oświetleniu faktów niezaprzeczonych; zasadnicze tezy innych historyków, piszących o hajdamaczyźnie, przedstawią się mu w świetle zupełnie innem. W osnowę mojej pracy legły nie cudze poglądy, ale źródła i materjały historyczne, badane samodzielnie. Fakty i oświetlenia, odnoszące się bezpośrednio do hajdamaczyzny, brałem z pierwszej ręki, starając się je tylko, jako całość ugrupować. Co zaś do wypadków bądź drugo planowych, bądź służących tylko za tło głównego obrazu, korzystałem z monografii i opracowań innych autorów—i to — jak czytelnik sam sprawdzi— bardzo rzadko i oględnie."

Na uwagę pilną zasługuje niemniej i ostatni rozdział drugiego tomu, w którym Autor przytacza zapatrywanie samego ludu na hajdamaczyznę, o ile zapatrywania te odzwierciadliły się w poezji ludowej, legendach i tradycji.

Pamiętnik Stanisława Niemojewskiego (1606—1608) wydał A. Hirschberg Lwów 1899.

Podjętego na nowo przed dwoma laty przez Zakład Ossolińskich Wydawnictwa wyszedł obecnie tom II-gi, zawierający wyżej wymieniony pamiętnik. Jego autor, Niemojewski pojechał do Moskwy z klejnotami królewny szwedzkiej Anny, siostry Zygmunta III, aby je tam sprzedać Dymitrowi Samozwańcowi, który odznaczał się wielkiem zamiłowaniem w wybieraniu drogich kamieni i kosztowności. Po drodze, w pobliżu Orszy, połączył się Niemojewski z Maryną Mniszchówną i jej ojcem, którzy właśnie wówczas jechali do Moskwy i odtąd już razem z nimi dalszą podróż odbywał. Niemojewski został przez Dymitra łaskawie przyjęty, ale po śmierci cara spotkał go ten sam los nie wesoły, który i innych Polaków stał się udziałem. Zesłano go najprzód do Rostowa, a w trzy miesiące później nad Białe Jezioro i dopiero po blisko dwuletniej niewoli wrócił do domu.

Wspomnienia swe zaczął Niemojewski spisywać od samego początku swej podróży do Moskwy, „Wiadomości, podane przez Niemojewskiego — pisze w przedmowie do „Pamiętnika" jego wydawca p. Hirschberg tem większą mają wartość, że skreślił je człowiek wykształcony, obdarzony sądem wytrawnym i niezwykłą bystrością umysłu. Wprawdzie autor, jako gorliwy katolik a nadto rozgoryczony długą niewolą.... pisze z uprzedzeniem a nawet niechęcią, atoli pomimo tego ubarwienia pamiętnik jego jest źródłem nader cennem, odznacza się bowiem niezwykłą dokładnością i obfitością szczegółów w nim zawartych."

Wydawca porównał i korzystał z dwu istniejących redakcji pamiętnika (rękopis jednej znajduje się w zbiorach Ossolineum, a drugiej w pewnej prywatnej bibliotece wiedeńskiej) i opatrzył pamiętnik odbitką z nieznanych dotychczas portretów Dymitra Samozwańca i Maryny ze zbiorów niegdyś Wiśniowieckich, obecnie znajdujących się w Muzeum Historycznem w Moskwie.

Z „Drukarni Udziałowej" we Lwowie, ul. Lindego 8